

Paweł Beręsewicz

Z ust mi to wyjęła!

Na lekcji było o Aniarkijczykach. Pani napisała na tablicy: MOD = DOM

— Ciekawy język, prawda? — uśmiechnęła się. — Wystarczy powiedzieć wspaniale i wszystko jasne.

Próbowaliśmy na różnych słowach. Najpierw łatwych, a potem trudniejszych. Kot — tok, masło — ołsam, Karolina — Anilorak. Dużo było z tym zabawy.

Potem pani bardzo długo skrobała kredą po tablicy, a kiedy skończyła, powiedziała, że tak brzmi pełna nazwa kraju, z którego przyjechali do nas Aniarkijczycy: BMOB HCYCAJADAPS ANIARK

— Ktoś da radę przeczytać? — spytała.

Las rąk.

— Proszę, Kajetanie, czytaj. Od końca do początku.

Kajetan marszczył się i wysiłał, ale w końcu dobiegł do końca — to znaczy tak naprawdę do początku.

— Uf! — stęknął i otarł pot z czoła. — Trudne!

— Brawo, Kajetanie! Świetna robota! A jak myślicie, skąd taka nazwa?

Puszczają rąk.

— Słucham, Kasiu. Skąd? — Bo tam spadają bomby?

— No właśnie, Kasiu. Niestety. A jak spadają bomby, to da się bezpiecznie żyć i chodzić do szkoły?

Dżungla amazońska rąk.

— To może Marysia. Proszę.

— Nie da się. Ja bym się bała.

— Oj, ja też, Marysiu! — pani pokiwała głową. — Ja też!

Fryderyk trącił mnie łokciem. Ja trąciłem Fryderyka. Siedziałem z Fryderykiem w jednej ławce!

Na koniec była mowa o ulubionych aniarkijskich potrawach.

— Opowiesz nam o nich, Anilorak? — poprosiła pani.

Anilorak przyklejała na tablicy obrazki, a my mieliśmy odczytywać podpisy:

— Azzip, babek, ydol...

Dla niektórych to był prawdziwy szok.

— Przecież to są **nasze** ulubione potrawy! — przeżywał Fryderyk, kiedy wyszliśmy na przerwę.

— I co z tego? — spytała Zuzka. — Nie mogą być i ich, i nasze?

Pomyślałem dokładnie to samo, co Zuzka powiedziała: „Właśnie, Fryderyk! Nie mogą?”.

Ale Fryderyk prychnął z wyższością i wycedził przez zęby:

— Ciekawe, jak się będzie czuła, kiedy nam całą pizzę wyjedzą, co nie, chłopaki?

Franek gorliwie przytaknął, Janek zaświstał ze zgrozą. Obaj bardzo by chcieli siedzieć z Fryderykiem, ale z Fryderykiem siedziałem ja. Teraz czekali na **moje** zdanie — Zuzka, Fryderyk i reszta. Czuję na sobie ich ponaglący wzrok.

— Ja to właściwie nie przepadam za pizzą — powiedziałem bezpiecznie.

Któregoś dnia Fryderykowi na lekcji wyrósł ogonek. Siedzę z nim, więc dobrze widziałem — krótki, fioletowy i nie do końca we właściwym miejscu. Kiedy, niczego nie podejrzewając, szedł do tablicy, żeby obliczyć jakieś straszliwe dodawanie, wszyscy ukradkiem zerkali w stronę jego dżinsów i zasłaniali usta, jakby całej klasie nagle zachciało się kichać. Tylko Zuzka powiedziała:

— Coś ci się, Fryderyk, przyczepiło do spodni.

Wszystkim było wesoło, tylko nie Fryderykowi. Sięgnął ręką ku swoim tylnym rejonom i odkleił stamtąd jakąś niedokładnie zawiniętą w papierek kulkę. Kiedy wrócił, rozłożył przede mną na ławce pomiętą fioletową karteczkę i postukał w nią palcem.

— Czytaj! — rozkazał.

Pochyliłem się i zmarszczyłem czoło.

— Aicuz od amug — przeczytałem pod nosem. — Co to? Na twoim krześle było?

Fryderyk posępnie pokiwał głową.

— No — mruknął. — Teraz widzisz?

Nie byłem pewny, co ma na myśli.

— Znaczy, że co? — spytałem.

— Widzisz, co to było?

— No... wygląda, że guma do żucia.

— Ale jaka?

— Przeżuta? — strzeliłem.

— Aniarkijska, Natan, aniarkijska!

Potem na przerwie, czy ktoś chciał czy nie chciał, pokazywał wszystkim ten dowód przestępstwa.

— Trzeba coś z tym zrobić — twierdził. — Inaczej całą szkołę nam zalepią tą swoją gumą do żucia, co nie, chłopaki?

Franek uważał tak jak Fryderyk. Janek całkowicie się zgadzał. Ja nieznacznie poruszyłem brwiami.

— A skąd wiecie, kto ją zostawił na krześle? — spytała Zuzka. — Każdy może sobie taką kupić w naszym szkolnym sklepiku.

Po prostu z ust mi to wyjęła.

Pod koniec dnia Anilorak znalazła gumę do żucia na swoim futerkowym piórniku. Ktoś wtarł ją tak pracowicie, że nie było mowy o pozbyciu się jej bez pomocy nożyczek. Anilorak płakała, bo piórnik był nowy, a piórnikowe futerka nie odrastają po stryżeniu. Wszyscy spojrzeliśmy na Fryderyka. Stuknął się palcem w mostek i wybałuszył oczy.

— Ja? — pytała jego niewinna minka. — W życiu!

Ale twarz mu promieniała. Potem zresztą nawet przestał się kryć.

— Niech mają nauczkę — powiedział i bardzo był z siebie zadowolony.

Chętnie bym go zapytał, czemu akurat Anilorak — przyszła na drugą lekcję, a gumę znalazł na pierwszej.

— Dlaczego akurat Anilorak? — zapytała go Zuzka. — Nawet nie było jej wtedy w szkole.

Fryderyk zadarł nos i uroczyście podniósł palec.

— Aniarkijska guma w aniarkijskim piórniku — oświadczył. — Tam jest jej miejsce!

Zuzka popukała się w głowę, a Anilorak dostała od niej na pocieszenie naklejkę ze Świnką Peppą.

Okazało się, że Aniarkijczycy jednak nie zalepili naszej szkoły gumą do żucia. Cieszyłem się po cichu, że Fryderyk się mylił. Ale on uważał, że to właśnie on miał rację.

— I widzicie? — powiedział. — Mówiłem, że tak będzie. Dostali nauczkę i skończyło się zalepianie, co nie, chłopaki?

— No — przytaknął Franek.

— Faktycznie podziałało — zgodził się Janek.

— Żeby coś się mogło skończyć, najpierw musi się zacząć — prychnęła Zuzka. — Jedna guma to ma być zalepianie?

Pomyślałem z uznaniem: „Tak jest, Zuzka! Otóż to!”. Zupełnie jakby czytała mi w myślach! Któregoś dnia Fryderyk założył stowarzyszenie. Stowarzyszenie Pilnowania Żeby Nie Zalepiali. Zaglądali wszędzie. Pod parapety, do doniczek, w dziurki od kluczy, za portrety sławnych pisarzy. Nagle któryś ryknął: „Jest!” i wszyscy zlecieli się do niskiej ławki przy oknie na korytarzu.

Dwie pary ustawionych na sztorc trampek celowały w sufit. Dalej były dwie pary nóg, dwa brzuchy i dwie brody. Franek i Fryderyk leżeli na plecach z głowami pod ławką. Wyglądali jak saperzy rozbijający bombę. Fryderyk fachowo dźgnął coś czubkiem długopisu.

— Wygląda na ich — ocenił.

Wtedy Franek wykonał drugie nakłucie i zacmokał z namysłem.

— No nie wiem, nie wiem. Może być też nasza.

Zaczęli się nawzajem przekonywać:

— Mówię ci, ich.

— Chyba że nasza.

— Ich, ich.

— A jak nasza?

W końcu Fryderyk wezwał mnie.

— Choć **ty** zobacz, Natan. Ich czy nasza?

Skrzywiłem się niechętnie, kiedy nie patrzyli. „Co znaczy:ich czy nasza” — pomyślałem.

Jakbyśmy mieli jakieś wspólne gumy! Klęknąłem jednak i zajrzałem pod ławkę.

— Tak pół na pół — stwierdziłem.

Zuzka parsknęła śmiechem.

— A co to za różnica!?! Guma jest tego, kto ją żuje!

Fryderyk wylazł spod ławki i usiadł na podłodze.

— Właśnie! — Wycelował w nią długopisem. — Mogli specjalnie przykleić naszą, żebyśmy myśleli, że to nie oni!

Zuzka powiedziała, że to najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszała, a ja po kryjomu pokiwałem głową. Sam bym tego lepiej nie ujął!

Po paru dniach Fryderyk oświadczył, że samo patrolowanie to o wiele za mało — potrzebne są odważne czyny. Plan działania przedstawił w krótkich punktach:

— Otoczenie. Zatrzymanie. Na plecaku napisanie: ZALEPIANIA DOŚĆ!

Długo wybierali, od kogo by zacząć. Omawiali wszystkich, którzy mieli imiona na odwrót. Ten nie, ten nie, ten nie — w końcu został im tylko Keicam.

Miałem poważne wątpliwości, czy to na pewno odważny czyn, kiedy się do otaczania, zatrzymywania i napisywania wybiera najmniejszego, najchudszego i w największych okularach Anirakijczyka, jakiego da się znaleźć w szkole — do tego z pierwszej klasy, kiedy samemu jest się w trzeciej.

Zuzka powiedziała właściwie to samo, tylko że krócej i na głos:

— Tchorze!

Postanowiłem w duchu, że w tym „odważnym czynie” brać udziału nie będę!

Kiedy Fryderyk powiedział: „Ty, Natan, stój tu i czatuj”, odpaliłem mu w myślach: „Sam sobie czatuj!”. I tylko po prostu stałem. Fryderyk, Franek i Janek czekali kilka kroków dalej, ukryci za krzakiem bzu z odbezpieczonym niezmywalnym markerem.

Keicam wyszedł ze szkoły. Stanął przed wejściem i jakby się zastanawiał, czy ma iść w prawo czy w lewo. „W lewo, w lewo, w lewo!” — myślałem ostrzegawczo.

Niestety, poszedł w prawo. Podskakując radośnie, zbliżał się w moją stronę. Słońce błyskało w jego ogromnych okularach. Wpatrywałem się w niego ze wszystkich sił, żeby przyciągnąć jego wzrok. W końcu zauważył, że patrzę i pytająco ściągnął brwi.

„Uwaga, uwaga!” — dałem mu znak oczami. — „Fryderyk, Franek i Janek czekają kilka kroków dalej, ukryci za krzakiem bzu z odbezpieczonym niezmywalnym markerem!”

Nic a nic nie zrozumiał. Zamiast zawrócić, zбочzył na skraj chodnika i ominął mnie łukiem.

„Stój, Keicam, stój!” — wrzeszczałem za nim w duchu, ale on nawet nie zwolnił. Szedł dalej w paszczę lwa i machał workiem z kaptami. Ze smutkiem spuściłem głowę — nie chciałem na to patrzeć.

Nagle coś przede mną śmignęło! Zaskoczony zerknąłem na ścieżkę. Tu Keicam, tam bez, a między nimi Zuzka!

— Uważaj, Keicam! — krzyknęła. — Chcą ci pomazać plecak!

Patrzyłem, jak Keicam czmycha z powrotem do szkoły i bardzo się cieszyłem.

Ale Fryderyk się nie cieszył. Czerwony ze złości, wychynął zza krzaka, a za nim jego drużyna.

Szli lekko zgarbieni. Groźnie łypali spod oka. Ręce trzymali w kieszeniach.

— No! — wycedził Fryderyk cicho, ale złowrogo. — I co teraz będzie?

Zuzka wzruszyła ramionami

— **Co** teraz będzie?

— Zaraz zobaczysz, Zuzka!

— Co zobaczę?

— Zobaczysz, co będzie!

— A co będzie?

Fryderyk, jakby trochę zbity z tropu, odwrócił się przez ramię i rozkazał swoim:

— Powiedźcie jej, chłopaki!

— Co mamy jej powiedzieć?

— Co teraz z nią będzie.

— A co teraz z nią będzie?

Zuzka z politowaniem pokręciła głową.

— Jak już coś ustalicie, to dajcie mi znać — powiedziała i poszła.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Też bym tak z nimi rozmawiał, gdyby to mnie się czepiali.

W końcu ustalili. Dopędzili ją jeszcze przed furtką i chwycili za plecak. Plecak ześliznął się Zuzce z pleców, ale zdążyła złapać za pasek. Oni ciągnęli w swoją stronę, a Zuzka w swoją.

„Trzymaj się Zuzka!” — ścisnąłem za nią kciuki.

Tylko że ich było trzech.

Kiedy ją w końcu pokonali, wojenny łup zadyndał w ręce Janka. Fryderyk rozkazał:

— W kosmos z nim!

Przytrzymali Zuzkę, żeby nie przeszkadzała. Janek wziął wielki rozmach. Zafurkotało i plecak zawisł na gałęzi starego kasztana.

— O! — powiedział Fryderyk. — **To** będzie. Teraz już wiesz?

Odchodzili zadowoleni ze zwycięstwa.

Ja zostałem. Wołali: „Chodź, Natan!”, ale powiedziałem, że muszę po coś wrócić do szkoły.

Odczekałem za murkiem, a kiedy zniknęli, podszedłem do Zuzki. Z zadartą głową stała pod kasztanem i martwiła się, jak sobie poradzi.

— Nie chce spaść, tak? — zagadałem.

— No nie chce.

— Czekaj, poszukam patyka.

Poszedłem, a kiedy wróciłem, Zuzka trzymała już plecak w rękach.

— Sam spadł? — spytałem rozczarowany.

Uśmiechnęła się przeproszająco.

— Wiatr powiał. Ale i tak dziękuję.

— Spoko — mruknąłem, a potem wygarnąłem wszystko, co myślę o tym całym Fryderyku.
Nie można milczeć, kiedy komuś dzieje krzywda.